

## Na Południu Afryki

Andrzej Jajszczyk<sup>1</sup>

### 14.05.2010 (piątek)

Wylatujemy z lotniska Balice do Frankfurtu o 17:50. Mamy tam trochę czasu — Basia idzie do salonu biznesowego, a ja czytam gazety. Dalej lecimy Boeingiem 747 Lufthansy do Johannesburga w Południowej Afryce. Podróż trwa prawie dziesięć godzin, ale nie jest najgorzej. Oglądam amerykański film „The Blind Side” z Sandrą Bullock. Bardzo amerykańska rodzinna historyjka o bogatej białej rodzinie adoptującej zaniedbanego czarnego nastolatka, który dzięki miłości i wysiłkowi przybranej rodziny wychodzi na ludzi i zostaje słynnym futbolistą. Historia podobno prawdziwa. Ciekawa rola Sandry Bullock, która dostała za nią Oscara.

### 15.05.2010 (sobota)

Rano lądujemy na lotnisku stolicy ekonomicznej Południowej Afryki. Ładna, słoneczna pogoda, w dodatku dokładnie ten sam czas co w Krakowie. Robią wrażenie bardzo sprawna kontrola paszportowa i nowoczesny terminal. Nieco dłużej trwa oczekiwanie na bagaże. Zależy nam na czasie, bo zaraz mamy lecieć do Victoria Falls w Zimbabwie. Pędzimy do odprawy w innej części terminalu. Przyczepiają się do nas dwaj pracownicy obsługi lotniska, w firmowych koszulkach, którzy wcale nie proszeni, pokazują nam drogę i ciągną walizkę Basi (ja swojej nie daję odebrać). Odprawiamy się przy stanowisku South African Airlines. Nasi samozwańczy pomocnicy domagają się pieniędzy. Wyciągam dwa amerykańskie dolary. Widząc je, domagają się dwudziestu (za pięciominutową, niechcianą usługę!). Odchodzą wściekli z kwitkiem.

Do Victoria Falls lecimy Airbusem 319. Przez okno obserwuję krajobrazy. Najpierw duże, starannie zaplanowane osiedla domów jednorodzinnych. Polem sztucznie nawadniane pola na płaskim terenie. Pola przechodzą w busz, pojawiają się też pasma gór i, od czasu do czasu, odkrywkowe kopalnie. Lecimy około półtorej godziny. Niedługo przed lądowaniem widać unoszącą się nad lasem chmurę wodnego pyłu wzbijaną przez wodospady Wiktorii.

Lotnisko jest bardzo małe. Po płycie lotniska dochodzimy do niewielkiego budynku. Tu formuje się długaśna kolejka. Ląduje też samolot British Airways i kolejka znacznie się wydłuża. Wystawianie wiz przez dwóch urzędników trwa koszmarnie długo. Wszystko wypisują ręcznie i pobierają po 30 USD od wizy jednokrotnej. Sterczymy około godziny. Wreszcie przechodzimy, bierzemy nasze bagaże i wychodzimy do sali wyjściowej, gdzie czeka już na nas wysłannik firmy *Wild Horizons*. Jedziemy 21 km do naszego *Victoria Falls Hotel*. Dobra, asfaltowa szosa prowadzi przez busz. Po drodze widzimy stado pawianów. Widzimy też rozczulającą „trójkę” – niewielki wóz ciągnięty przez trzy osły.

Po około pół godzinie docieramy do naszego hotelu. To spory kompleks jednopiętrowych budynków w stylu kolonialnym, położonych na dużym, pięknie utrzymanym terenie. Wewnątrz, na ścianach, dużo grafik i plakatów ilustrujących kolonialną przeszłość tej części Afryki, w tym podróże Livingstone’a, a także mnóstwo trofeów myśliwskich. Pracownik hotelu prowadzi nas do naszego pokoju na parterze (nr 71). Ładnie umeblowany z dwoma oknami, z których jedno wychodzi na środkową, reprezentacyjną część budynku od strony ogrodu, a z drugiego widać otoczenie wodospadów z unoszącym się obłokiem wodnego pyłu.

O 15:30 wsiadamy ponownie do autobusu, który zabiera nas do przystani na brzegu Zambezi. Po drodze widzimy antylopy Impala i dużo dzikich świń, niektóre z nich z imponującymi szablami. Wchodzimy na pokład dwupoziomowego katamaranu mieszczącego kilkudziesięciu pasażerów. Dosiadamy się do stolika, przy którym siedzi już para sympatycznych młodych ludzi z Modeny we Włoszech. Na brzegu żegna nas

---

<sup>1</sup> przy współpracy Basi Jajszczyk

kilkunastoosobowy zespół tańczący i śpiewający afrykańskie piosenki. Trzeba przyznać, że robią to bardzo dobrze. Kelnerzy roznoszą napoje i drobne przekąski. Piję całkiem niezłe południowoafrykańskie wino *Merlot*. Statek wypływa na szeroko rozlane wody Zambezi z licznymi wyspami pokrytymi bujną roślinnością. Płyniemy głównie wzdłuż zambijskiego brzegu. W dole rzeki widać imponujące, przecięte tęczą, obłoki pyłu wodnego nad wodospadami Wiktorii. Z pokładu obserwujemy wystające z wody, przy przybrzeżnych krzewach, fragmenty głów hipopotamów. Nieco później podziwiamy malowniczy zachód słońca. Przybijamy do przystani i wracamy do hotelu.

Piękna, gwiazdzista noc. Wspaniale widać Krzyż Południa, Drogę Mleczną i nisko położony nad horyzontem gwiazdozbiór Skorpiona. W stawach bardzo głośno skrzeczą żaby. Na tarasie hotelu jemy smaczną kolację. Basia wybrała stek wołowy, a ja – sałatę cesarską z mięsem krokodyla, którą popijam dobrym *Pinhurst Chardonnay*. Później jeszcze mały spacer po zielonym terenie otaczającym hotel i słodki sen w wygodnym łóżku chronionym moskitierą.

### **16.05.2010 (niedziela)**

Budzi nas piękny, słoneczny dzień. Jemy śniadanie na otwartym powietrzu z hotelowej restauracji *Jungle Junction*, z pięknym widokiem na otoczenie wodospadów. Ok. 8:30 podjeżdżamy autobusikiem pod wejście na teren parku narodowego znajdującego się bezpośrednio przy wodospadach. Przewodnik rozdaje nam płaszcze przeciwdeszczowe i parasole, i wkrótce ruszamy. Pierwszy przystanek przy pomniku Davida Livingstone'a. Później podchodzimy pod kolejne wodospady, poczynając od *Diabelskiej Katarakty*, utworzone przez ogromne masy wody rzeki Zambezi wlewające się do imponującej szczeliny o głębokości przekraczającej sto metrów. Stopniowo pogarsza się widoczność z powodu gęstniejącego aerozolu pochodzącego z rozbryzgującej się wody. W wodnym pyłe tworzą się lokalne tęcze. Wokół bujna, tropikalna roślinność. Jesteśmy coraz bardziej przemoczeni, zalewani przez atakującą nas zewsząd wodę. Mimo to staram się robić zdjęcia. Basia dzielnie trzyma nade mną parasol, starając się chronić przed zamoczeniem aparat fotograficzny, który jednak, na szczęście już przy końcu wycieczki, odmawia posłuszeństwa. Dochodzimy do imponującego stalowego mostu nad głębokim kanionem rzeki i wracamy do punktu początkowego. Obserwujemy stado dużych ptaków siedzących na drzewie. To toko żółtodziobe (*yellow billed hornbill*). Kształtem przypominają tukany, ale mają mniejsze dzioby i kolorystykę przypominającą sroki.

Po powrocie do hotelu pływamy w basenie, a potem jemy, przy stoliku stojącym na trawie, smaczny lunch (ryba z grilla, sałaty, *Chardonnay*). Po południu Basia wyrusza na dwie wycieczki. W czasie pierwszej jedzie na słonicy *Lundi*, a potem ją karmi. Na drugiej główną atrakcją są zabawy z trzema młodymi lwami. W tym samym czasie robię sobie spacer po okolicach hotelu, fotografuję widok w kierunku wodospadów w czasie zachodu słońca, a także przegrywam na komputer i porządkuję zdjęcia.

Gdy Basia wraca, spotykamy się z umówionym wcześniej pracownikiem hotelu i oglądamy wybrane sale i apartamenty. Pięciogwiazdkowy *Victoria Falls Hotel*, zbudowany w 1904 roku w stylu edwardiańskim, znajduje się na prestiżowej liście wiodących hoteli świata (*The Leading Hotels of the World*) i zdecydowanie na to sobie zasługuje. Potwierdzają to starannie zaprojektowane i wysmakowane wnętrza, świetnie dobrane meble, wiszące na ścianach ilustracje, trofea myśliwskie podkreślające charakter hotelu, a także stojące w wielu miejscach piękne bukiety ze świeżych kwiatów. Najpierw zaglądamy do apartamentu królewskiego (*The Royal Suite*) z sypialnią, salonem, łazienką i korytarzykiem, w którym zatrzymywali się prezydenci, a także koronowane głowy, w tym królowa Elżbieta (*Królowa Matka*). Później idziemy do również wspaniałego *Livingstone Suite*. W bocznym pawilonie docieramy do *View Room*, który jest w zasadzie zadaszonym widokowym tarasem w czymś w rodzaju wieży. Widok jest jednak znacznie przesłonięty rosnącymi wokół drzewami. W drodze powrotnej oglądamy stojący na wewnętrznym dziedzińcu wagonik kolejki turystycznej, która kiedyś prowadziła z hotelu nad wodospady. Zwiedzanie kończymy na ładnym apartamencie w naszej części hotelu.

Kolację jemy ponownie na tarasie hotelu, pijąc południowoafrykańskie *Sauvignon Blanc*. Przed snem spacer pod rozgwieżdżonym niebem.

### **17.05.2010 (poniedziałek)**

Wstajemy wyjątkowo wcześnie, bo o 5:30 rano, by móc podziwiać wschód słońca nad wodospadami i tzw. *drugim przełomem* widocznym z naszego hotelu. Zdecydowanie było warto. Jemy śniadanie w *Jungle Junction*, a później oglądamy wystawę stojących na trawie kamiennych rzeźb afrykańskich artystów, tworzących *Stone Dynamics Gallery*. Są całkiem dobre; ceny wydają się też rozsądne (choć niezbyt małe), ale rzeźby są stanowczo zbyt duże, by transportować je samemu do domu.

Furtką na tyłach hotelu wychodzimy we dwójkę poza jego teren i ruszamy w busz. Początkowo idziemy ścieżką w kierunku wodospadów, a później skręcamy w prawo. Niespodziewanie napotykamy kilka bawołów afrykańskich — to bardzo niebezpieczne zwierzęta. Na szczęście odchodzą i możemy dojść do punktu widokowego, z którego widać imponujący drugi i trzeci przełom rzeki Zambezi, już poniżej wodospadów. Idziemy dalej wzdłuż pionowo opadających ścian głębokiego wąwozu. Widzimy też sporo interesujących ptaków i ciekawych roślin. W drodze powrotnej zaczepiają nas miejscowi sprzedawcy rzeźb i innych lokalnych pamiątek. Po ostrych negocjacjach cenowych, kupujemy trzy prace: kamiennego hipopotama, coś w rodzaju kubistycznego „frasobliwego” i drewnianą maskę.

Po powrocie do hotelu dalszy ciąg jego zwiedzania. Dzięki uprzejmości personelu oglądamy apartament *Batoka* (Batoka to nazwa przełomów rzeki Zambezi). Umieszczony jest na pierwszym piętrze centralnej części głównego budynku. Jego główną atrakcją jest zapierający dech widok na rzekę. Później fotografuję jeszcze najbardziej reprezentacyjne wnętrza hotelu, czyli główny salon z wielkimi portretami Jerzego V i jego żony Marii; wyjątkowo ładny salon *Bulawayo* z portretem Lobhengula — ostatniego władcy królestwa Matebele, a także salon *Stanleya* z oryginalnymi malowidłami pokrywającymi jego ściany. Robię też zdjęcia pełnej słońca hotelowej biblioteki i czytelnicy, znajdującej się w łączniku do bocznego skrzydła hotelu.

Wczesnym popołudniem jedziemy niedużym autobusem na lotnisko. Po drodze oryginalny widok na „czwórkę” osłów ciągnących wóz. Z opóźnieniem wylatujemy do Johannesburga. Po godzinie i czterdziestu minutach lotu lądujemy na tamtejszym lotnisku. Tam czeka na nas już Patrick, agent firmy turystycznej. Autobusem hotelowym dostajemy się do, znajdującego się niedaleko, hotelu *Peermont Metcourt*, będącego większą częścią kiczowatego kompleksu *Emperors Palace*. Nasz pokój jest niewielki i według mnie ładny, chociaż zaprojektowany bardzo niepraktycznie. Natrysk, ubikacja i umywalka są oddzielone od sypialni zasłoną, a wspólne szklane drzwi pozwalają na zamknięcie albo natrysku, albo ubikacji. Basię to rozwiązanie doprowadza wprost do szału.

Przez budynek hotelu *Peermont Metcourt Suites*, powiązanego z centrum konferencyjnym, przechodzimy do hali z licznymi restauracjami. Potwornie kiczowata całość ma przypominać włoskie miasto — na lekko wypukłym suficie namalowano nawet błękitne niebo z białymi chmurami. Do tego liczne kolumny, a na głównym placu okropna kopia Dawida Michała Anioła. W restauracji sieci *Ocean Basket* jemy klasyczne *fish & chips*. Do tego piję południowoafrykańskie piwo. Po kolacji spacerujemy po, znajdującym się w naszym kompleksie, ogromnym kasynie, przyglądając się grającym ludziom. Nas to jednak nie ciągnie.

### **18.05.2010 (wtorek)**

Po śniadaniu lecimy samolotem *De Havilland Dash8-300* linii S.A. Express do miejscowości Hoedspruit, w prowincji Limpopo, leżącej na obrzeżu Parku Narodowego Krugera. Nasz przygodny sąsiad, młody Anglik, którego rodzice mają farmę w pobliżu Parku Krugera, straszy nas malarią. Mówi, że sam już był na nią chory pięć razy. Odradza przy tym szczepienia profilaktyczne, bo podobno słabo chronią, a utrudniają postawienie właściwej diagnozy. Poleca też skuteczny lek: *Coartem*. Przy podchodzeniu do lądowania piękne widoki na Góry Smoczce i kanion rzeki Blyde. Lotnisko też jest interesujące. Po zamaskowanych, betonowych hangarach wyraźnie widać, że jest to głównie lotnisko wojskowe. Co ciekawe, pełni rolę awaryjnego miejsca lądowania amerykańskich promów kosmicznych.

Czeka już na nas Joe — nasz kierowca i przewodnik. Odkrytym terenowym samochodem zawozi nas do hotelu *Kapama River Lodge* w prywatnym rezerwacie zwierząt (*Kapama Private Game Reserve*). Hotel to zespół ładnych budynków, dobrze wpasowanych, zarówno materiałami jak i stylem, w otaczający teren. Lokujemy się w pokoju 12 na pierwszym piętrze. Z okien mamy widok na otoczoną buszem łąkę.

O 16:00 wyruszamy na pierwsze safari. Jedziemy dużą, otwartą, *Toyotą Land Cruiser*, specjalnie skonstruowaną do tego typu zastosowań. Za kierownicą, po prawej stronie, Joe, a na siedzeniu umocowanym po lewej stronie przed maską pojazdu siedzi czarnoskóry tropiciel (*tracker*). Dla pasażerów jest dziesięć miejsc. Poznajemy kolejnych sympatycznych Włochów spod Modeny: Annę i Francesco, którzy są w podróży poślubnej.

Zaraz po wyjeździe widzimy już pierwsze zwierzęta, w tym dzikie perliczki (*helmeted guineafowl*) i guźce afrykańskie (*warthog*). Duże osobniki tych ostatnich, wyposażone w imponujące szable, wyglądają całkiem groźnie. Natomiast śmieszny jest ich widok, gdy uciekając podnoszą pionowo cienkie ogony. Busz jest całkiem gęsty i nieoceniony okazuje się tu tropiciel zwracający nam uwagę na ukrywające się w nim zwierzęta. Widzimy m.in. kilka gatunków antylop, zebry, żyrafy, bawoły afrykańskie, nosorożce, a także sępy i sowy. Największe wrażenie robi jednak spotkanie z czterema młodymi lwicami. Jedna z nich jest ranna w łapę i porusza się z wielkim trudem. Nasz przewodnik podejrzewa, że mogą to być skutki spotkania z jeżozwierzem (*porcupine*). Po zapadłych bokach i wystających żebrach widać, że lwice dawno nie jadły. Według Joe, matka czterech sióstr nie nauczyła ich polować.

Po zmierzchu zatrzymujemy się na krótki „popas”. Nasi opiekunowie rozkładają stół z trunkami i drobnymi przekąskami. Piję lampkę czerwonego wina. Pięknie błyszczą gwiazdozbiory południowego nieba: Skorpion, Krzyż Południa, Orion. Widać także Obłok Magellana. Latają liczne nietoperze. Ruszamy dalej. Tropiciel wodzi po buszu silnym reflektorem. Oglądamy z bliska pięknego kameleona. Dobrze po 19:00 docieramy do hotelu.

Kolacja przy elegancko nakrytych, długich stołach ustawionych pod otwartym niebem. Obok płonie ognisko. Poznajemy kolejnych sympatycznych nowożeńców Juliettę i Victora, mieszkających na stałe w północnej Brazylii. Co ciekawe, ślub wzięli 8 maja, czyli tego samego dnia co Anna i Francesco.

### **19.05.2010 (środa)**

Pobudka o 5:30, o 6:00 poranna kawa, a o 6:30 wyruszamy na kolejne podglądanie zwierząt. Jeszcze na terenie hotelu towarzyszy nam stado pawianów, a między budynkami przebiegają antylopy impala. O świcie pięknie widać Góry Smocze (*Drakenberg*). Znow widzimy mnóstwo zwierząt, w tym nosorożce, żyrafy, zebry, szakale, antylopy kudu, czy guźce. Główną atrakcją są jednak tym razem słonie, duże i małe. Widzimy też koczkodana zielonego — interesującą małpę o czarnej twarzy (*vervet monkey*). Po powrocie porządne śniadanie.

Złe wieści z Polski. Wielotygodniowe deszcze spowodowały powódź, zalewając m.in. niektóre obszary w Krakowie. Telefonujemy do naszych sąsiadów — Kasi i Czarka. Niestety nasze piwnice i garaże zostały zalane przez wodę pochodzącą z wód gruntowych. A w nich nasze oba samochody, pralki i suszarka, prywatne archiwum i mnóstwo innych bardziej lub mniej cennych dla nas rzeczy. Sąsiedzi spisują się nadzwyczajnie, ratując co się da. Załatwiają też wyciągnięcie zalanych samochodów i odwiezienie ich do stacji obsługi. Bardzo pomagają też nasza agentka ubezpieczeniowa Dorota i sąsiad Grzegorz, dostarczając pompy i maszyny do suszenia.

Po lunchu, następny wyjazd na bezkrwawe łowy. Tym razem udaje się nam zobaczyć również lwa ze wspaniałą grzywą (choć najwyraźniej znudzonego) w towarzystwie dwóch lwic. Widzimy też sporo ptaków, w tym przepięknego *tkacza* (?) (*long-tailed widow bird*). Kolacja tym razem nad malowniczym stawem.

### **20.05.2010 (czwartek)**

Wstajemy ponownie o 5:30. Tym razem nie mamy czasu na poranną kawę, bo śledzimy w internecie wieści z zalanej Polski. O 6:30 ruszamy z Joe i tropicielem. Znow spotykamy cztery lwie siostry. Nadal wychudzone, ale najwyraźniej zraniona łapa jednej

z nich jest już w lepszym stanie. Spotykamy żyrafy i zebry, a także kilka gatunków antylop w tym antylopy gnu (*wildebeest*). Ciekawie wygląda (ale gorzej pachnie) kob śniady (*waterbuck*) z charakterystycznym białym kręgiem na zadzie.

Po śniadaniu, z Joe oraz Joaną i Robertem — parą młodych ludzi z Rio de Janeiro — wyruszamy samochodem na piesze safari. Po krótkiej jeździe opuszczamy samochód i wchodzimy w busz. Joe ma tym razem strzelbę. Udziela nam krótkiego instruktażu. Mamy nie wychodzić przed niego, by nie zasłaniać pola strzału, a także uciekać za drzewa w razie ataku bawołów. Ten atak nie wydaje się już po chwili całkiem abstrakcyjny, gdy kilka tych groźnych zwierząt wyłania się z buszu i przygląda się nam badawczo. Na szczęście po chwili tracą nami zainteresowanie i powoli odchodzą. Joe pokazuje nam gniazda termitów, a także wyszukuje „pożeracza mrówek”, który tworzy w piasku lejki, do których wpadają te owady. Oglądamy też wielkie pająki tkające złote nici. Przewodnik wycina podziemne kłącze rośliny przypominającej sansewerię i pokazuje, że zawarte w nim duże ilości płynu można pić zamiast wody. Oglądamy też interesujące drzewa, jak marula, z którego owoców produkuje się znany likier amarula, czy „płaczącą akację” (*weeping wattle*).

Do Kapama River Lodge wracamy tylko po bagaże. Joe zawozi nas do nowego miejsca — to obóz namiotowy *Buffalo Camp*. Lokujemy się w brezentowym namiocie o nazwie *Cheetah* (Gepard). Namiot stoi na wysokich palach, górując nad buszem. Jest wielki i luksusowy. Duże łóże, biureczko, lustro, na podłogach skóry antylop. Przylega do niego stała łazienka z natryskiem i wc. W sumie jest tu osiem dwuosobowych namiotów, a także duże, kryte strzechą wiaty, pełniące rolę restauracji i salonu z barem. Do tego niewielki basen i pomieszczenie na biuro. Jemy smaczny lunch, rozmawiając co chwila przez telefon z różnymi osobami z Krakowa, przede wszystkim na temat ratowania naszego zalanego domu..

Wieczorem ruszamy z czarnoskórym przewodnikiem Thomasem i kilkoma niespecjalnie sympatycznymi Francuzami na kolejne „łowy”. Widzimy znów zebry, żyrafy, antylopy impala i niala (*nyala*), słonie z małymi, szakale, a także przebiegające dość daleko ratle, zwane też miodożerami (*honey badger*). Największą atrakcją jest jednak wielki nosorożec znaczący co kilkadziesiąt metrów swoje terytorium. Jak zwykle, już po zmierzchu krótki postój. Pięknie widać gwiazdy:  $\alpha$  i  $\beta$  Centauri (*Pointers*), Antares, czyli serce Skorpiona i jasnego Syriusza. Po powrocie kameralna kolacja w *bomie* — ogrodzonym terenie z centralnie umieszczonym ogniskiem.

### **21.05.2010 (piątek)**

Znów poranne wstawanie i wyjazd w busz. Dziś wyjątkowo pięknie widać Góry Smocze, z kłębiącymi się nad nimi chmurami. Jak zwykle widzimy sporo zwierząt. Młody słoń zbliża się szybko do naszego samochodu, jakby próbował nas atakować. Thomas powoli cofa pojazd; słoń podobno już wcześniej zachowywał się agresywnie. Sporo czasu tracimy na przedzieranie się przez busz w poszukiwaniu lwicy z dwojgiem młodych. To się nam nie udaje, ale za to napotykamy na cztery znane już nam lwie siostry. Wyraźnie najedzone, leniwie leżą na niewielkim wzgórku. W sporym jeziorze widzimy też hipopotamy. Obserwujemy również ptaki, m.in. liczne toko żółtodziobe, białą czapkę (*egret*), turako szare (*grey loerie*) z efektownym czubem, a także drapieżnego krogulca trzypręgowego (*African goshawk*).

Wracamy na śniadanie. Pod naszym namiotem pasą się trzy antylopy niala (samiec i dwie samice). Koło południa Thomas odwozi nas na lotnisko w Hoedspruit. Spotykamy tam Annę i Francesca. Rozmawiamy z nimi siedząc przy stoliku na otwartym dziedzińcu niewielkiego terminala, otoczeni bujną roślinnością. Fokkerem F28-4000 linii Air Quarius lecimy do Johannesburga. Po około godzinie jesteśmy na miejscu. Tym razem lokujemy się w hotelu Peermont Metcourt Suites. Mamy wielki pokój z wygodną łazienką. Wystrój jest nowoczesny, ale w porównaniu z poprzednim hotelem, stojącym zresztą po drugiej stronie ulicy, dosyć kiczowaty. Ponownie jemy kolację w restauracji *Ocean Basket*.

### **22.05.2010 (sobota)**

Rano, znacznie spóźniony, przyjeżdża do nas autobusik firmy turystycznej Thompsons i zabiera nas na wycieczkę do Soweto. Oprócz kierowcy i nas jedzie jeszcze starszy

Hindus z nastoletnią córką. Soweto to miasto satelickie Johannesburga, a jego nazwa pochodzi od *South Western Townships*. Nasz kierowca i przewodnik twierdzi, że mieszka tu ok. 4 mln ludzi (w Johannesburgu tylko 3,5 mln), chociaż oficjalne dane podają liczbę 1,3 mln. Jedziemy wygodną autostradą. Najpierw przejeżdżamy przez dzielnicę zamieszkałą przez tutejszą klasę średnią, z całkiem ładnymi, chociaż na ogół niewielkimi domami i starannie utrzymanymi ogródkami. Później oglądamy długie, szare baraki mieszkalne budowane kiedyś dla czarnych robotników. Obok powstają mniejsze, kolorowe, kilkurodzinne domy budowane ze wsparciem władz. Ale widzimy też klasyczne slumsy, powstające z blachy i przygodnych materiałów. Dobre wrażenie robią natomiast centra handlowe, parki oraz starannie zaprojektowane i utrzymane place zabaw dla dzieci.

Przewodnik pokazuje nam duży dom Winnie Mandeli, byłej żony narodowego bohatera Południowej Afryki. Jedziemy też do miejsca, w którym 16 czerwca 1976 roku zastrzelono, wraz z wieloma innymi osobami, czarnoskórego ucznia Hectora Pietersona, w czasie demonstracji przeciwko zastąpieniu w szkołach języka angielskiego językiem afrykanerskim. Zdjęcie zabitego trzynastolatka obiegło cały świat. Zwiedzamy też muzeum poświęcone tym wydarzeniom, a także zaglądamy do katolickiego kościoła *Regina Mundi*, będącego świadkiem wystąpień przeciwko apartheidowi. Największy witraż ufundowała w nim Jolanta Kwaśniewska.

W dalszej części podróży po Soweto przejeżdżamy koło tzw. „słoniowych domów” (*elephant houses*), nazwanych tak od charakterystycznych dachów wyglądających jak grzbiet słonia. Później zwiedzamy dawny dom Nelsona Mandeli, w którym urządzono niewielkie muzeum. Ulica, przy której stoi zamienia się teraz w elegancką promenadę z restauracjami, i kawiarniami. Co ciekawe, przy tej samej ulicy znajduje się dom, w którym mieszka, od czasu do czasu, drugi południowoafrykański laureat pokojowej Nagrody Nobla — biskup Desmond Tutu. Duże wrażenie robi na nas wielki dworzec taksówkowy, z setkami małych busów dowożących ludzi do pracy. Nasz kierowca objaśnia nam lokalny „język migowy”, pozwalający na zatrzymywanie tych wieloosobowych taksówek zmierzających w wybranym kierunku. Konkurencją dla tego środka transportu są nowe, duże autobusy poruszające się jeden za drugim na wydzielonych pasach jezdni. Piękne, nowoczesne przystanki znajdują się w wielu miejscach Soweto. Wprowadzenie komunikacji autobusowej wywołało ostatnio falę protestów tradycyjnych taksówkarzy zaniepokojonych możliwą utratą klientów.

Przejeżdżamy koło stadionu „Orlando, do którego zmierzały właśnie tłumy kibiców na dzisiejszy mecz, będący próbą przed mistrzostwami świata i zmierzamy w kierunku centrum Johannesburga. Po drodze widzimy piękny nowy stadion, który ma być główną areną mistrzostw. Przecinamy centrum miasta pełne dobrze wyglądających wieżowców. Wrażenie robi *Diamantowy budynek (The Diamond Building)* w kształcie oszlifowanego kryształu, zaprojektowany przez Helmuta Jahna, architekta niemieckiego pochodzenia. Przy hotelu Crown Plaza opuszczamy towarzyszących nam Hindusów i przesiadamy się do innego busika. Nowy kierowca jest sympatycznym gadułą, o dużych zdolnościach językowych. Podziwiamy jak błyskawicznie zapamiętuje i powtarza usłyszane od nas polskie słowa. Jedziemy przez luksusową, willową dzielnicę miasta. Piękne, wielkie domy toną w zieleni. Przejeżdżamy m.in. przed obecnym domem Nelsona Mandeli. W końcu docieramy na lotnisko.

Lot do Kapsztadu trwa półtorej godziny. Po drodze interesujące widoki na pustynne i półpustynne krajobrazy. Blisko celu widać malownicze, skaliste góry, w tym górującą nad miastem Górę Stołową (*Table Mountain*). Po wylądowaniu mała scysja przy busiku firmy wynajętej przez organizatorów konferencji ICC, który ma nas zawieźć do hotelu. Żądają, zdaniem naszym i innych pasażerów, wygórowanej sumy 350 randów (US\$45) za dwoje pasażerów. Po dyskusji udaje się nam zbić cenę do 210 randów (US\$27).

Lokujemy się w pięciogwiazdkowym hotelu Westin Grand. Trzeba przyznać, że jest wewnątrz naprawdę ładny i wygodny. Z okna mamy widok na centrum miasta, Górę Stołową i fragmenty portu. Wahadłowym busikiem hotelu jedziemy na *Nabrzeże (Waterfront)* — dzielnicę miasta z żeglarskimi przystaniami, pełną restauracji, knajpek i eleganckich sklepów. Nie jest to daleko od hotelu, ale obsługa odradza nam wieczorne i nocne spacery po mieście. Kolację jemy w restauracji *Fishermen's Choice*. Ponieważ

spotykamy większą grupę znajomych z IEEE Communications Society, decydujemy się na wspólny powrót do hotelu na piechotę.

### **23.05.2010 (niedziela)**

Rozpoczynam dzisiaj spotkania związane z konferencją *IEEE International Conference on Communications ICC 2010*. Dziś posiedzenia *Online Content Board*, które prowadzi James Hong z Korei, *Publications Editors Luncheon* prowadzony przez Vijaya Bhargavę z Kanady i mnie, oraz *Publications Council* prowadzony przez Lena Ciminiego z USA.

Basia spędza dzień na pieszej wycieczce na Górę Stołową. Towarzyszą jej Fernanda i Sergio Benedetto. Około dwie i pół godziny zajmuje im wejście przez wąwóz *Platteklip (Platteklip Gorge)* na rozległe plateau góry. Początkowo planowali zjazd kolejką linową, ale ta została wyłączona z ruchu z powodu złej pogody. Dlatego też wrócili pieszo, tą samą trasą. Basia jest zachwycona widokami, mimo wielu chmur, a także pięknymi kwiatami, jak protea. Spotykają też *góralki przyładkowe (dassie, rock hyrax)* przypominające nieco świstaki.

Wieczorem przyjęcie powitalne (*Welcome Reception*) konferencji na terenie centrum kongresowego przylegającego do naszego hotelu, które rozpoczyna się od spotkania VIPów (w tym i mnie) z premier prowincji *Western Cape*, p. Helen Zille. W czasie przyjęcia spotykamy dużo przyjaciół i znajomych z całego świata, jemy miejscowe smakołyki i pijemy (a właściwie tylko ja) dobre wino. W rozmowach nieco przeszkadza zbyt głośna muzyka.

### **24.05.2010 (poniedziałek)**

Z atrakcji dnia można wymienić *VIP Awards Luncheon* w restauracji *Marimba*. Siedzę z Basią koło Reinaldo Valenzueli — dyrektora *Bell Laboratories* odpowiedzialnego za badania w dziedzinie łączności bezprzewodowej. Bardzo dobre potrawy i świetne południowoafrykańskie wino. Wieczorem natomiast bierzemy udział w eleganckiej kolacji *Organizers Dinner* w restauracji *221 Waterfront*. Znowu siedzimy koło Reinaldo. Stek wołowy jest po prostu znakomity, jak również podane do niego wino. Udane jest też *crème brûlée* z dodatkiem tutejszego likieru — amaruli. Przed wyjściem dostajemy od organizatorów w prezencie żyrafę-maskotkę.

### **25.05.2010 (wtorek)**

Po śniadaniu idę na sesję plenarną. Pierwszy referat pt. „Research and Technology for Accelerating Growth and Development” wygłasza Gary Bridge, *Senior Vice President and Global Lead, Internet Business Solutions Group, Cisco, USA*. Referat jest interesujący, ale to co w nim jest najbardziej niezwykłego, to fakt, że gestykulująca postać prelegenta nie znajduje się w Południowej Afryce, a w Kalifornii. To co widzimy to tylko świetnej jakości trójwymiarowy obraz holograficzny przekazywany na żywo. Szczególnie w czasie odpowiedzi na pytania, złudzenie obecności prezesa Bridge’a jest niemal stuprocentowe. Wysłuchuję też ciekawego, ale już bardziej konwencjonalnie przeprowadzonego, referatu Reinaldo Valenzueli pt. „Too Much Data Paradox’ and Technology Evolution in Cellular Networks”.

Basia z Basią Krzymień wybiera się autobusem turystycznym wokół Kapsztadu tzw. linią niebieską. Cała trasa bez wysiadania z autobusu to dwie i pół godziny jazdy. Po drodze wiele przystanków, na których można wysiadać i wsiadać do następnego przejeżdżającego autobusu. Cena biletu na cały dzień to 120 randów. Pierwszym przystankiem było sanktuarium ptaków. Takie ZOO w ładnej scenerii z mnóstwem miejscowych okazów. Wchodzi się do klatek z ptakami, więc śpiące sowy są na wyciągnięcie ręki. Tam obie Basie spędziły godzinę. Następne odwiedzane miejsce to *Hout Bay* — piękna zatoka z wioską rybacką i piaszczystą plażą. Z portu rejsy statkami na wyspę z fokami. Basie pospacerowały po wiosce, obejrzały afrykański targ pełen różnych pamiątek z terenu całej Afryki, a następnie zdecydowały się na lunch w restauracji *Wharfside Grill* z widokiem na plażę. Zjadły pyszne miętusy królewskie (*kingklip*). Tak miło im się gawędziło, że przegapiły autobus. Wypiły więc kawę i gawędząc doczekały przyjazdu następnego, którym pojechały do *Camps Bay* — pięknej dzielnicy nadmorskiej Kapsztadu. Pospacerowały po miejscowości, oglądając wille i

pensjonaty. Kolejny autobus jechał nabrzeżem w stronę centrum konferencyjnego. Basie, siedząc na jego górnym, otwartym poziomie, podziwiały kolejne zatoki. Następnym przystankiem na trasie był *Sea Point* i tam zrobiły sobie kilometrowy spacer bulwarem nadmorskim. Już w drodze powrotnej do hotelu podziwiały nowy stadion piłkarski zbudowany na nadchodzące Mistrzostwa Świata.

Od południa uczestniczę w posiedzeniu zarządu *IEEE Communications Society*. Wieczorem bankiet konferencyjny. Odbywa się pod gołym niebem w restauracji *Moyo* w Stellenbosch, centrum południowoafrykańskiego winiarstwa. Dużo potraw do wyboru, do tego przyzwoite wina. Ale naprawdę dobrym winem częstuje mnie dopiero Bijan Jabbari z George Mason University w Virginii. Oficjalny występ jest przeciętny — śpiewa i gra na gitarach dwóch czarnoskórych artystów. Piosenki są sympatyczne i dosyć proste, tak że w nastrojach przypominają mi polskie piosenki turystyczne. Przebojem są dopiero tańce personelu — kelnerek i kelnerów, czy pracowników kuchni. Tańczą rzeczywiście znakomicie w rytm afrykańskich melodii.

### **26.05.2010 (środa)**

Wcześnie rano spotkanie *Communications Switching & Routing Committee*, z którego przechodzę na dalszy ciąg posiedzenia zarządu. Po lunchu rozliczamy się z naszym hotelem, zostawimy w przechowalni walizki i wraz z Robertem Saracco jedziemy taksówką do podnóża Góry Stołowej. Tam, kolejką linową wjeżdżamy na górę. Jest piękny, słoneczny dzień, stąd widoki na Kapsztad i okolicę zapierają po prostu dech. Robimy sobie prawie dwugodzinny spacer, zanim ponownie nie wsiadamy do kolejki i zjeżdżamy w dół.

Idę na referat mojego doktoranta, Roberta Wójcika, a potem zaglądam na sesję, którą prowadzi Piotr Chołda, a referat wygłasza Rafał Stankiewicz (moi dwaj koledzy, a dawni doktoranci). Zabieramy z Basią walizki i z hotelu Westin przechodzimy do pobliskiego hotelu St. Georges. Ten czterogwiazdkowy hotel jest też niezły, ale znacznie tańszy niż poprzedni. Wieczorem jemy kolację w restauracji *Ocean Basket* w dzielnicy nabrzeżnej.

### **27.05.2010 (czwartek)**

Spod Centrum Kongresowego jedziemy na wycieczkę w rejony winiarskie niedaleko Kapsztadu. Mimo niezbyt dobrej pogody mamy wspaniałe widoki na góry i jesienne, złotobrunatne winnice. Rozpoczynamy od pięknie położonej, niedaleko Paarl, *Seidelberg Wine Estate*. Winiarnię założono już 1692 roku pod nazwą *De Leuwen Jagt*, co po holendersku oznacza „polowanie na lwy” i dopiero trzydzieści lat temu niemiecki właściciel nadał jej obecną nazwę. Oprowadza nas sympatyczna pracownica firmy, bardzo rzeczowo i ciekawie opowiadająca o stosowanych tu procesach technologicznych. Widzimy m.in. ciężarówkę zawierającą maszynę do butelkowania wina, przyjeżdżającą do winiarni tylko na cztery dni w miesiącu, a także wielkie zbiorniki ze stali nierdzewnej, tradycyjne betonowe kadzie (do produkcji najlepszych win) i dębowe beczki. Potem degustacja w stylowej, murowanej piwnicy. Próbujemy win białych: Chenin Blanc 2010 i Viognier 2008, wina *Rosé* 2010 wyprodukowanego ze szczepu Red Muscadel, a także czerwonych: *Un Deux Trois* 2006 (Cabernet Sauvignon, Merlot, Cabernet Franc) w stylu win z Bordeaux, Roland's Reserve Syrah 2006 i Roland's Reserve Pinotage 2007. Na koniec wino półsłodkie *Stein* 2009 (Chenin Blanc) oraz wino wzmacniane Muscadel. Wina są przyzwoite, ale poniżej oczekiwań.

Jedziemy następnie do Franschhoek, uroczego miasteczka założonego ponad trzysta lat temu przez francuskich hugenotów. Nasz busik parkuje koło kościoła, pod ogromnymi eukaliptusami. Mamy trochę czasu, więc spacerujemy uliczkami tego nastawionego na turystów miasteczka, oglądając stylowe domy i pełne kwiatów ogrody (mimo początku tutejszej zimy), a także podziwiając widoki na pobliskie góry. Zatrzymujemy się też przy monumentalnym i niezbyt pięknym pomniku poświęconym hugenotom. Na lunch jemy w niewielkiej, ale ładnie urządzonej restauracyjce, bardzo dobrą, gęstą zupę brokułową z grzybami i łososiem.

Kolejna winiarnia na naszej trasie, niedaleko Franschhoek, to *Solms-Delta*. Po jednej trzeciej udziałów w firmie mają: neurolog z Kapsztadu Mark Solms, brytyjski filantrop



Richard Astor, i jej pracownicy. Tu ograniczamy się do degustacji i obejrzenia stałej wystawy na temat historii tych terenów. Wina, które próbujemy są trochę bez wyrazu. Rozpoczynamy od białych: *Vastrap* 2009 (Chenin Blanc, Clairette Blanche, Semillon), *Amalie* 2009 (Viognier, Grenache Blanc; dojrzewające w beczce dębowej). Potem wina czerwone: *Langarm* 2007 (mieszanka winogron śródziemnomorskich), *Hiervandaan* (Shiraz, Mourvèdre, Grenache Noir, Carignan oraz skórki Viognier) w stylu win z Doliny Rodanu, *Africana* 2008 (Shiraz). Na koniec niskoalkoholowe (9,5%) wino gazowane *Cape Jazz Shiraz*.

Ostatnia degustacja, to już obszar słynnego Stellenbosch. Przejeżdżamy koło tamtejszego uniwersytetu i zatrzymujemy się w winiarni *Neethlingshof*. Tu wina nam wreszcie smakują, a szczególnie *LN* (Lord Neethling) *Cabernet Sauvignon* 2001 oraz *The Owl Post* 2008 (Pinotage), leżakowane przez 14 miesięcy w beczce z dębu węgierskiego, oraz *The Caracal* 2005 (Cabernet Sauvignon, Merlot, Cabernet Franc, Pinotage) będący repliką win z Bordeaux. Pijemy też dobre wino białe Gewürtztraminer 2009 oraz czerwone Malbec 2009. Prowadzący degustację ciekawie opowiada o winach, a także wysiłkach właścicieli winnic związanych z utrzymaniem tradycyjnego ekosystemu. Kupujemy po butelce każdego z wymienionych win, z zamiarem zabrania ich do Polski.

W drodze powrotnej do Kapsztadu łapie nasz deszcz, który gdy już jesteśmy w dzielnicy nadmorskiej przechodzi w ulewę. Po drodze mijamy wielokilometrowe morze slumsów. Przemoczeni dobiegamy do restauracji *Tavern Quay Four*, gdzie jemy świetne *fish & chips*. Taksówką wracamy do hotelu. W nocy sztorm — gwałtowna ulewa i huraganowy wiatr.

## **28.05.2010 (piątek)**

Po śniadaniu ruszamy kilkunastoosobowym autobusem na wycieczkę na Przylądek Dobrej Nadziei. Jedzie też paru znajomych z ComSocu: Bob Shapiro, Stan Moyer i John Pape. Na szczęście dziś jest piękna pogoda. Przejeżdżamy przez urokliwe nadmorskie dzielnice mieszkaniowe z ładnie zaprojektowanymi i starannie wykonanymi domami. Z jednej strony mamy skaliste zbocza Dwunastu Apostołów, a z drugiej — piękne plaże (choć woda w zimnym i pełnym rekinów Atlantyku nie bardzo nadaje się do kąpieli). Nasz afrykański przewodnik jest wygadany i sprawia wrażenie sympatycznego, chociaż w jego opowieściach wyczuwam też lekką rasistowską nutę.

Pierwszy postój to znana już Basi Hout Bay. Wsiadamy na niewielki statek *Calypso* i, przez bardzo dziś wzburzone wody, docieramy w okolice skalistych wysepek zasiedlonych przez setki fok. Przy wejściu na pokład spotykamy m.in. Basię i Witka Krzymieniów, a także Fernandę i Sergio Benedetto. Przez kilkanaście minut obserwujemy i fotografujemy foki, a potem wracamy do portu. Spacerujemy po nabrzeżach, obserwując kutry wypełnione kłatkami na morskie raki. Wracamy do autobusu i jedziemy na punkt widokowy *Chapman's Point*, z którego możemy podziwiać piękną panoramę zatoki.

Ruszamy dalej. Cały czas znajdujemy się na obszarze *Table Mountain National Park*, pełnym malowniczych i targanych wiatrem krzewów. Widzimy też strusie i antylopy. W końcu docieramy do Przylądka Dobrej Nadziei. Fotografujemy efektowne skały na tle błękitnego Atlantyku. Podchodzimy też kawałek ścieżką prowadzącą na skałę. Po dwudziestu minutach jedziemy na odległy o około kilometr *Cape Point*. Siadamy do wspólnego stołu. Zamawiam kalmary (według naszego przewodnika najlepsze w świecie), a Basia rybę (*bluenose*). Chór złożony z personelu śpiewa na głosy dwie piosenki — całkiem nieźle. Po lunchu idę z Basią do starej latarni morskiej i na punkt widokowy, z którego podziwiamy wspaniałe widoki na Atlantyck, Przylądek Dobrej Nadziei i na *False Bay*. Pięknie kwitną czerwone aloesy, przy których kręcą się szpaki czerwonoskrzydłe (*Red-winged Starling*). W rzeczywistości są granatowe z piórami spodniej strony skrzydeł zabarwionymi na rudo.

Przejeżdżamy koło kamiennych krzyży postawionych pod koniec XV wieku jako znaki orientacyjne przez Bartolomeo Diasa i Vasco da Gamę. Docieramy do Simon's Town, gdzie wsiadamy przy rezerwacie o nazwie *The Boulders* (głazy), znanym z kolonii pingwinów afrykańskich. W malowniczej, otoczonej ogromnymi głazami, zatoczce spotykamy rzeczywiście te ciekawe ptaki. Obserwujemy je przez kilkanaście minut. Później wracamy do autobusu, podziwiając przy okazji piękne domy.

Ostatni punkt dzisiejszego programu, to wspaniały ogród botaniczny *Kirstenbosch*, założony w 1913 roku u stóp Góry Stołowej. Jego cechą charakterystyczną jest to, że rosną w nim prawie wyłącznie rośliny miejscowe. Duże wrażenie robi aleja wielkich drzew kamforowych, przepiękne protee (srebrniki) i imponujące aloesy. Ten wielki ogród jest znakomicie utrzymany. Szkoda tylko, że zapada już zmrok i trzeba wracać do hotelu.

### **29.05.2010 (sobota)**

O 14:00 mamy jechać na lotnisko, by rozpocząć podróż powrotną do Polski. Basi udaje się przedłużyć termin opuszczenia hotelu z 11:00, właśnie na 14:00. Mamy więc sporo czasu na zwiedzanie miasta. Idziemy piechotą przez centrum do starego ogrodu botanicznego (*Company Gardens*) otwartego w 1848 roku, na miejscu siedemnastowiecznych ogrodów warzywnych zaopatrujących żeglarzy w świeże produkty. Park jest rzeczywiście bardzo piękny. Biega po nim mnóstwo dużych szaro-brunatnych wiewiórek, a po trawnikach chodzą ibisowato wyglądające ptaki. Jest tu wiele starych drzew, a także imponujący rozmiarami aloes.

Idziemy na wystawę *1910-2010 from Pierneef to Gugulective. A fresh look at a century of South African art* w *Iziko South African National Gallery*. "Iziko", w języku xhosa oznacza ogień domowy. Wystawa zajmuje cały budynek galerii. Jak to częste w sztuce współczesnej, wiele prac mogłoby powstać w dowolnym punkcie ziemi, ale sporo z nich nawiązuje jednak do straw afrykańskich. Widać to szczególnie w przypadku fotografii odnoszących się często do apartheidu. Nazwiska artystów nic mi nie mówią, a pewnie szkoda, bo niektóre obrazy i rzeźby są znakomite. Prawdziwa przyjemność dla oczu!

Na obrzeżu parku stoi budynek synagogi zbudowanej w 1905 roku w stylu neobarokowym, który przez swoje dwie symetryczne wieże bardzo przypomina chrześcijański kościół. Niedaleko od synagogi znajduje się klasycystyczny budynek lokalnego parlamentu powstały w drugiej połowie XIX wieku, a nieco dalej, zbudowany również w 1905 roku, wielki budynek ratusza w stylu edwardiańskim. Podziwiamy też wielki gmach towarzystwa ubezpieczeniowego w stylu art déco.

Idziemy do dzielnicy nabrzeżnej, gdzie w dobrej restauracji Seruga jemy bardzo smaczny lunch. Basia zamawia sobie dużego raka (*crayfish*), a ja miętusa z lampką świętego Chardonnay. Jedziemy taksówką do hotelu, a stamtąd na lotnisko. Po ok. dwudziestu godzinach, przez Johannesburg i Monachium, dolatujemy do Krakowa.